ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 1-go Kwietnia 1895. **Nr. 7.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Jarema Suchowej, stary kozak był powiernikiem, więcej przyjacielem, niż sługą pana Marka. Nikt nie wiedział, zkąd on pochodził, co dawniej porabiał i gdzie przebywał, bo Kozak milczał o sobie uparcie, a pan Siekierzyński też nie lubił nawet z siostrą o Jaremie mówić. Przywiózł go raz z wyprawy wojennej i pani Elźbiecie powiedział, że Suchoweja w niewolę zabrał, ale mu ten niebawem życie ocalił przestrzegając przed zdradą; więc mu wdzięczność winien do śmierci. Nigdy się też z Jaremą nie rozłączał, lecz zawsze brał z sobą.

Ludmiła go prawie wcale nie znała; teraz zaś, gdy się dowiedziała, że jest jej stróżem, z chmurnem czołem czekała na Kozaka.

Niebawem drzwi się otwarły i Suchowej próg przestąpiwszy i skłoniwszy się w pas, po kozacku, przy drzwiach w pokornej postawie się zatrzymał.

— Słyszę, żem tu podobno w niewoli trzymana, — zaczęła Ludmiła wyniośle.

Jarema się skłonił jeszcze niżej i odparł:

— Nie moja wola, jasna panienko! Pan kazał bramy trzymać zamknięte i drzwi od korytarza, wiodącego do waszych komnat, tak trzymam. Mam też rozkaz nie wypuszczać was, jasna panienko, za próg, ale wszystkie rozkazy wasze natychmiast wypełniać. Tak pan przykazał, on odpowie przed Bogiem i ludźmi... jam sługa tylko.

— Tedy przywołaj mi Semena — rozkazała sierota.

Suchowej pomyślał chwilkę, a potem rzekł:

— Stanie się według woli jasnej pani... pan rozkazał we wszystkiem słuchać, ino z zamku nie puszczać. — Tu skłoniwszy się do samej ziemi, opuścił Jarema pokój Ludki, lecz korytarz starannie zamknął za sobą.

Ale po kwadransie zgrzytnęły znowu rygle i Suchowej wpuścił Semena, który żwawym krokiem przeszedł kilka komnat i stanął przed Ludmiłą.

Mieszkanie jej, będące na piętrze, składało się z trzech pokoi i garderoby; w czwartym pokoju mieszkała panna Agnieszka, dalej dwie służebne przeznaczone dla Ludki i do pomocy staruszce; za tymi pokojami były jeszcze dwie komnaty i wielka sala; wszystkie te izby miały wejście na korytarz, z którego dopiero wchodziło się do wielkiej sieni, leżącej już w narożniku wieży; do niej też przytykała sala.

Do tej sali zaprowadziła Ludmiła Semena, który dał jej nieznacznie poznać, aby panna Agnieszka nie była obecną ich rozmowie. Poczciwa staruszka znużona długiem przy chorej sierocie czuwaniem, ledwo została sama, siadła z westchnieniem w wielkiem krześle i zdrzemnęła się smaczno. Gdy nareszcie otworzyła oczy, Ludka stała przed nią, Semena nie było.

— Już to Semen odszedł? — spytała. — Wszak wszystko prawda, com ci, panienko, mówiła, nie ustyguję na nikogo, ale co prawda, to prawda.

Ludmiła była dziwnie wzruszona, jakby rada czegoś, a zarazem niespokojna; odparła też szeptem i z jakiemś roztargnieniem:

— Tak... tak, wszystko prawda.

— Co my poczniemy biedne w tej niewoli! — mówiła dalej panna Agnieszka, załamując ręce i wpatrując się w sierotę, jakby z jej twarzy pragnęła wyczytać odpowiedź.

— Cóż mamy począć? Będzie, co Bóg da! — odparła panienka i poprosiła zaraz staruszkę, aby jej pomogła ład wprowadzić w bieliźnie i rzeczach, które w ostatnich czasach, w czasie choroby pani Elżbiety były zaniedbane.

Prośba ta była wbrew zwyczajowi Ludmiły, która zawsze bardzo oszczędzała pannę Agnieszkę i odwodziła ją od zbytecznej pracy, a dziś mimo zmęczenia starowiny, wynalazła dla niej zajęcie. Lecz to nie podpadło sędziwej pannie; zdziwiła ją natomiast obojętność sieroty i spokojne poddanie się losowi, tak niezwyczajne u młodej tej dzieweczki, która zawsze postawiła na swojem, gdy sobie coś przedsięwzięła. To też idąc za Ludką do garderoby, mruczała sobie po drodze, potrząsając głową:

— Hm! hm! Patrzcie! Ktoby to był myślał, że się tak prędko zgodzi... Panicz bogaty i urodziwy jak malowanie... nie ma co... aleć zawsze... przed dwoma dniami tak się srodze szarpała... sierota biedna... prawda jest... Powiadają też ludzie: »młodość, płochość!« Dziś tak, jutro niak! No, no, alem się jednak nie spodziewała!

Szepcąc tak i postępując, pracowała panna Agnieszka z Ludką pilnie i cały dzień spędziły razem dość swobodnie. Ktoby się przecież był uważnie przypatrzył sierocie, byłby dostrzegł u niej dziwnie gorączkowy niepokój, który się coraz więcej wzmagał, im wieczór był bliżej.

Po wczesnej wieczerzy stara panna śpiąca i znużona, udało się za namową Ludmiły na spoczynek. Chciała ona jeszcze tę noc przepędzić w pokoju swojej panienki, lecz ta oparła się stanowczo temu. Sama zaprowadziła staruszkę do jej pokoju, z rozrzewnieniem uścisnęła ją na dobranoc i nie wyszła, dopóki ta się nie położyła.

Panna Agnieszka, jak większa część starych osób, miała sen lekki; więc też lubo zaraz z wieczora zasnęła, to przecież po pewnym czasie usłyszała przez sen jakby szelest jakiś i rozmowę. Obawiając się, czy aby Ludmiła nie zaniemogła znowu, wygramoliła się z łóżka i na palcach, skradając się po cichu, podeszła pode drzwi sypialni sieroty, które były niedomknięte. Spojrzawszy przez szparę, ujrzała przy świetle nocnej lampki Ludkę klęczącą przy łóżku, z rękoma pobożnie złożonemi, modlącą się ze łkaniem.

— O dla Boga! Panienko! — zawołała staruszka — któż to znowu widział, tak bardzo się smucić! Przestańże zawodzić, serce, Pan Bóg przecie nad tobą...

Ludmiła zerwała się z kolan i zawołała z lekkim wyrzutem:

— Ach! panno Agnieszko! A któż to widział wstawać po nocy i tak bardzo troskać się o mnie? Jeszcze zdro-

wiu swojemu waćpanna zaszkodzisz. Połóż-że się. A może światło nie daje spać pannie Agnieszce? Tedy drzwi zamknę, albo lepiej lampkę zgaszę.

— Nie czyń tego, panienko, nie czyń! Śpiącą jestem, to będę spała... ja już nawet spałam, ale płacz twój...

— Już nie będę płakała, tylko się waćpanna połóż — przerwała Ludka, uścisnęła i ucałowała serdecznie starowinę i drzwi do swego pokoju starannie zamknęła.

Po małej chwili zgasła i nocna lampka w komnacie sieroty i zupełna cisza nastała.

Panna Agnieszka zasnęła niebawem, a nie mając już więcej przeszkody, spała sobie smacznie i spokojnie, choć lekko do samego rana.

Dopiero stukające drzwiami dziewczęta służebne ją zbudziły. Czuła się wypoczętą i rzeźwą, więc otworzywszy oczy i widząc, że dzień już jasny, przeciągła się wolno, ziewnęła i jęła przywdziewać szaty, rozmawiając z sobą wedle zwyczaju:

— Jaką też noc miało to moje niebożątko? Żali jej się aby nie pogorszyło? Bo to niby udawała za dnia spokój, a w nocy wszelako okrutnie płakała, aż mnie ze snu zbudziła nieboga, ona moja... Mnie też to zaraz bardzo było dziwno, żeby się zaś tak łatwo zgodziła. Ba, ba! nie pannę Ludmiłę to na pasku wodzić... małe to jeszcze było a czupurne jak kogucik... Oj, nie daj Boże! Ale mnie się widzi, że się tu u nas jeszcze źle będzie działo.... Jej nie rozkazuj! A ten gwałtownik, Panie odpuść! do wszystkiego gotowy... Nie na próżno jest przyjacielem panów Zborowskich!... Żeby to moja, kochana ś. p. pani widziała!... Takie zgorszenie! Ale to tak: kto nie ma poszanowania, ani uwagi na starość, na lata, na cnotę, ten przed najgorszem się nie cofnie. Taka to teraz nasza młodzież.... za moich lat młodych inaczej bywało.

Tak szepcąc, ubrawszy się, podreptała panna Agnieszka do sypialnego pokoju Ludki. Lecz tu ujrzała ze zdziwieniem łóżko już zasłane, a komnatę pustą.

— Patrzcie! — rzekła — moja panienka już wstała... może chudziątko spać nie mogło — poszła dalej.

Ale i w innych pokojach nie było Ludmiły. Staruszka zajrzała nawet do sali, do garderoby, do izby służebnych, po tem wyszła na korytarz, lecz sieroty nigdzie nie było ani śladu.

— W Imię Ojca i Syna! — zakrzykła stara panna. — Czy się w ziemię zapadła, czy nasze więzienie otwarte? — i szybko posunęła się do drzwi, które się w tej chwili otwarły.

To Suchowej wpuszczał dziewczęta ze śniadaniem na korytarz.

— Nie widziałyście gdzie panienki? — spytała niespokojnie panna Agnieszka, widząc, że Suchowej drzwi znowu na klucz zamyka.

— Panienki? — zawołała jedna z dziewcząt — panienka pewnie jeszcze śpi!

— Ale zaś! Wcale nie śpi, dawno nie śpi, łóżko nawet już zasłane i wszystkie komnaty próżne, nigdzie żywego ducha, — mówiła prędko, niespokojnie staruszka, a dziewczęta zdziwione, patrzały po niej i po sobie.

— Jakże nie widziałyście nigdzie panienki? Dalej, prędzej, gadajcie! — wołała coraz niespokojniej.

— Ja nie widziałam — odparła jedna.

— I ja nie — dodała druga.

Rozmowę tę prowadzoną przy drzwiach usłyszał Jarema Suchowej i choć nie rozumiał jeszcze dobrze, co się stało, wszelako słysząc pytanie o panienkę, otworzył szybko drzwi i wpadł na korytarz.

— Co to panienka? O co się waćpanna pytasz? — zawołał.

— A co się pytam? O panienkę! — odparła stara panna niespokojnie. — Nie wiem gdzie jest? Gdzie się podziała? W pokojach jej nie ma!

— Panienki nie ma! — wrzasnął Kozak i jak szalony rzucił się do mieszkania.

— Ano nie ma, nie ma — mówiła panna Agnieszka, dążąc za Suchowejem.

Nastał istny dzień sądny. Cały zamek przewrócono do góry nogami: szukano po wszystkich pokojach, piętrach,

sklepach, wieżach i poddaszach; przeszukano ogród, wodę, jar, bór przyległy; na koniec kilkunastu jeźdźców popędziło co koń wyskoczy w cztery strony świata. Szpilka byłaby się znalazła, ślicznej sieroty nie było ani śladu. Gdzie się mogła podziać, jakim sposobem wydobyć, to przechodziło pojęcie. Mieszkanie było na piętrze, okna zakratowane nie naruszone, pod oknem straże, na dziedzińcu, w ogrodzie, około zamku krążyli całą noc żołnierze nadworni Kozacy, którymi Jarema Suchowej dowodził; drzwi od korytarza były szczelnie zamknięte, pod niemi spał kozak, stary, wierny, a w drugim końcu sieni spoczywał sam Jarema, ale nie spał prawie wcale, bo co godzina obchodził wszystkie straże na całym zamku.

I co było bardzo dziwne, że w całem mieszkaniu panował największy porządek, wszystko było na swojem miejscu, bielizna i szaty były wszystkie, brakło ino tej jednej sukienki, którą Ludmiła miała dnia poprzedniego na sobie; zostały nawet wszystkie jubki i szuby, kapturki i chustki, wszystkie kosztowności i pieniądze. Zdawało się, że Ludka dopiero co i tylko na chwilę opuściła swoje komnaty; nigdzie ani śladu, najmniejszej oznaki gdzie się podziała, co się z nią stało. Tylko na sali, w pobliżu komina leżała czarna wstążka, którą dnia poprzedniego miała Ludmiła warkocze związane. Suchowej podniósł wstążkę i spojrzał w komin, ale przecie tamtędy nie wyleciała chyba!.... chociaż istne czary!.... Gdyby nie była tak piękna, cnotliwa i słodka dla wszystkich, gotowi by byli sądzić, że chyba tą jedną wolną drogą, kominem na świat Boży ze swego więzienia wyleciała.

Panna Agnieszka łamiąc ręce, płakała i jęczała bez ustanku, twierdząc, że chyba duchy porwały sierotę, bo przecie widziała ją jeszcze około godziny dziesiątej w nocy modlącą się przy łóżku. Dziewczęta szeptały wprawdzie wielce tajemniczo o owej wstążce znalezionej przy kominie, lecz staruszka nie zwracała na te szepty uwagi, pewna będąc, że wstążkę zgubiła Ludka dnia poprzedniego, gdy na salę chodziła z Semenem.

Wielka trwoga padła na cały zamek, ale najokropniejsze było położenie Jaremy Suchoweja, który szalał formalnie z rozpaczy, tłukł głową o ścianę, pięściami w stół walił i ryczał:

— Głowę nałożę, głowę moją siwą oddam pod topór; alem też nic lepszego nie wart! Oddajcie mię natychmiast katu! Oddajcie!

— Tobie powierzam ten skarb, przyjacielu! Strzeż-że go jako duszy własnej!

— Tak powiedział mój pan kochany — wołał dalej stary kozak, wydzierając sobie włosy z czupryny — A ja... ot, pilnowałem!.... Dusza w ciele, a krasawicy nie ma! Gdzie ona nieboga? Gdzie ona? Biada mojej głowie! Biada!

Szalał tak biedny kozaczysko i był niemal pewien, że przez jakieś czary ktoś uniósł śliczną panienkę, bo wiedział przecie, że jej strzegł pilnie i nie zaniedbał niczego, co było w ludzkiej mocy. Ale kto był ten czarodziej i jakich sztuk użył? Na to sobie Suchowej nie umiał odpowiedzieć.

Dopiero nazajutrz, gdy Semena cały dzień nie widział nikt na zamku, a poczynione poszukiwania wykazały, że i stary sługa ś. p. pani Gorajskiej zniknął tego samego wieczora, co piękna sierota, Jarema zaczął się domyślać, co się z Ludmiłą stało. Zaprzestał też jęków i wyrzekań, tylko w ponurem milczeniu oczekiwał powrotu pana Siekierzyńskiego.

IV.

Ze dwie mile za miastem Krzemieńcem, wsławionem później znakomitą szkołą, założoną na początku bieżącego stulecia przez Tadeusza Czackiego, szumiał przed laty gęsty bór sosnowy, wyrosły bujnie na wołyńskiej glebie.

Wśród tego to lasu, na dużej haliznie, tuż przy szerokiej drodze, stała wygodna karczma większa i porządniejsza od wielu innych, gdyż często zajeżdżali tu liczni, a nawet i znakomici podróżni.



UKRZYŻOWANIE CHRYSTUSA PANA.

Pogodny, lecz mroźny dzień zimowy na początku roku 1587 chylił się ku wieczorowi. Ogromna, czerwona tarcz zachodzącego słońca schowała się za wierzchołki wysokich sosien, oblewając krwawym blaskiem ośroniałe drzewa, ubielony śniegiem dach karczmy i przeglądając się w zamarzłych szybach niskich okienek. W izbie karczemnej czerwone światło, ostatnich promieni słońca, kłóciło się z jasnym płomieniem ognia, którym buchał ogromny komin i napełniało ją dziwnem, tajemniczem swiatłem.

Izba była pusta, tylko za szynkwasem siedział karczmarz, człek w sile wieku, który spoglądając na ukwiecone mrozem okna, mówił do siebie:

— Ho, ho! mróz coś pod noc bierze! Ale pogoda jak się patrzy.... w taki czas to i o podróżnego trudniej, bo każdy woli podążyć do Krzemieńca.

Jeszcze karczmarz nie przestał mówić, gdy przed domem tupotanie kopyt końskich, chrzęst zmarzłego śniegu i jakiś głos silny zawołał:

— Hej! ludzie! Jest tam kto? A bywaj-no tu żywo!

Karczmarz wybiegł prędko, ale stanął w progu, bo już jego parobek stajenny trzymał jednego konia, z którego zeskoczył jakiś pan stateczny i pomagał zsiąść z drugiego konia, młodemu, bardzo delikatnemu paniczowi. Młodzieńczyk ten stanąwszy na ziemi, zawołał cienkim głosikiem:

— Wcale nie czuję znużenia! Moglibyśmy zaraz jechać dalej.

— Tak się to wydaje... Chybabyśmy nie spoczęli noc całą, bo te bory, idą bardzo daleko. Znam ja się przecie z nimi! — odparł stary jegomość i zdjąwszy z konia biesagi, oddał go stajennemu, polecając, aby zaprowadziwszy bachmaty do stajni miał o nich staranie; poczem skierował się wraz z towarzyszem ku sieni.

Karczmarz otworzył szeroko drzwi izby przed podróżnymi, z których starszy zażądał zaraz osobnej izby dla swego, jak mówił wnuka, który słabowitym będąc, potrzebuje spokojnego i wygodnego noclegu.

Przywołana przez męża karczmarka zajęła się rączo przysposobieniem czystej pościeli i łóżka w przylegającym do izby alkierzu, który zajmowały najczęściej podróżujące panie, a dokąd podążył natychmiast młody panicz. Drugi zaś podróżny wydobył z biesagów pieczone mięso, bułeczkę białego chleba i butelkę wina, którego mały kubek rozkazał karczmarce zagrzać z jajami i wraz z chlebem i pieczenią zaniósł sam do alkierza, swemu delikatnemu wnukowi. Wróciwszy po chwili ztamtąd, dopiero pomyślał o własnym posiłku, pytając gospodarza, co ma na wieczerzę.

— Mamy tylko wędzony schab z grochem i kapustę, do napicia zaś i rozgrzania jest świeżo ważony krupnik, który się pewnie na takie zimno przygodzi — odparł karczmarz.

— Tedy podajcie jedno i drugie — rzekł stary podróżny, a siadłszy za stołem i zwiesiwszy siwą głowę na piersi, zdawał się drzemać ze znużenia.

Karczmarz zaś przypatrywał mu się pilnie kręcąc raz po raz głową, jakby się czemu dziwił. I tak było istotnie. Ten delikatny, młodziutki panicz, odziany w kosztowne futro, nie wyglądał jakoś na wnuka starego podróżnego, który lubo ubrany bardzo dostatnio, nie był z pewnością bogatym panem; a co jeszcze dziwniejsze obchodził się tak z mniemanym wnukiem, jakby z jakąś znaczniejszą osobą; czego zaś już zupełnie karczmarz nie pojmował, to że obaj podróżni jechali sami, bez czeladzi, nawet bez jednego pachołka, czego żaden pan nigdy w owych czasach nie czynił.

Po wieczerzy stary jegomość zapowiedziawszy, że się prześpi w gościnnej izbie na ławie, poszedł do alkierza, z którego dochodził odgłos szybkich kroków; snać delikatny panicz, niezmęczony konną jazdą, używał jeszcze pieszej przechadzki po izbie.

— Matka! — szepnął karczmarz do żony, gdy się drzwi za podróżnym zamknęły, — przypatrzyłaś się ty tym naszym gościom?

— Albo co?

— Mnie się widzi... — zaczął mąż, lecz nie dokończył, bo za oknem ozwał się tętent biegnących koni i głośna rozmowa; niebawem drzwi otwarły się i dwóch nowych podróżnych weszło do izby. Byli to obaj młodzi ludzie, z których jeden nieco starszy, wyższy, szlachetnej postawy i nadzwyczaj pięknego oblicza, zdawał się karczmarzowi jakby znajomym.

— Chwała Bogu, żeśmy nareszcie pod dachem — zawołał piękny młodzian — mróz bierze na noc coraz większy i głód już mi począł dokuczać, — a zwróciwszy się do gospodarza spytał: — Wszakże znajdziemy tu spoczynek i posiłek?

Karczmarz dał twierdzącą odpowiedź, a podróżny szedł do stołu, aby spocząć na ławie, gdy w tem z alkierza stary jegomość wrócił do izby. Na jego widok młodszy z dwóch co dopiero przybyłych podróżnych stanął jak wryty, przetarł ręką oczy i wykrzyknął:

— W imię Ojca i Syna! Czy mię oczy mylą? Czy duch, czy też waść we własnej osobie, pan Semen ze Siekierzan?

— Kostek!... Jak mi Bóg miły! Kostek! — zawołał ze zdumieniem stary — a ty co tu robisz? Żali i pan twój jest blisko? Gadajże żywo!

— Mój pan? Mój pan oddawna w Wisłocku! Ale ja jadę... jadę z wesołą nowiną do młodej pani... A waść dokąd dążysz?

— Do Warszawy... ale nie sam... Chwała Bogu, żeśmy się spotkali! Chodźno chłopcze do alkierza, dowiesz się więcej.

Tu stary sługa pani Gorajskiej (bo on to był rzeczywiście) pociągnął za sobą pachołka pana Adama, nie zważając wcale na drugiego podróżnego, którym nie był nikt inny jak Hołubek.

Ten zostawszy sam w izbie, siadł na ławie i pogrążył się w głębokiej zadumie. O Semenie słyszał on wiele dobrego od swego szwagra, pana Wisłockiego, a jeszcze więcej od Kostka, który przez całą drogę opowiadał mu o wszystkich mieszkańcach Siekierzan. Gabryel wiedząc, że to zaufany sługa i przyjaciel pani Elżbiety, a oraz i Ludki, sądził, że od jednej z nich został wysłany w jakiej sprawie, gdyż o śmierci opiekunki swej siostry nic jeszcze naturalnie nie wiedział. Cieszył się też, że od Semena wieści o Ludce zasięgnie, lecz nie pytał się zaraz o nią, chcąc, aby Kostek opowiedział wpierw poczciwemu starcowi, kogo do Siekierzan wiezie.

Hołubek, lubo cieszył się niewypowiedzianie, iż się siostra znalazła i całe serce wyrywało mu się do niej, to z drugiej strony bał się prawie spotkania z nią. Chociaż pochodził ze starej, szanowanej rodziny, był przecież tylko górnikiem, a siostra wychowana przez bogatą panią w zbytkach i w mniemaniu, że sama pochodzi ze znakomitego domu, została żoną szlachcica, rotmistrza, niezbyt wprawdzie bogatego, ale dumnego na urodzenie swoje wysokie. Czyż więc ta siostra, która go nie znała zupełnie, nie powstydzi się brata górnika, czy nie pożałuje, że się spotkali, znaleźli, czy mu nie zrani serca obojętnością? Wprawdzie pan Adam nie wstydził się przyznać do niego, nazwać go bratem, ale ten młody rycerz kochał Ludkę gorąco, i dla niej gotów był sam zostać prostym robotnikiem, gdyby tego było potrzeba; w upojeniu czystej miłości byłby się z całym światem zbratał, ale gdy przejdzie uniesienie, czy i ten szwagier nie wzgardzi nim kiedy? A Ludka, której drobniutką postać dwuletnej dzieciny dobrze pamiętał, czy już teraz może nie odwróci się od brata z pogardą? Wprawdzie Kostek pod niebiosa wynosił młodziutką panią, wychwalał jej dobroć, tkliwość, litość dla biednych i przystępność dla wszystkich, ale jednak Gabryel byłby wolał, aby siostra wychowała się była w skromnym domu rzemieślnika, lub w niskiej chacie kmiecia, niż w szlacheckim i pańskim zamku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZIEMIA POLSKA.

Ziemio polska, ziemio święta,
Ojców krwią i znojem
Użyźniona, poświęcona,
I ja dzieckiem twojem!

Ja twym synem: włos mój siwy,
Ręka moja drząca,
Wszakże lutnia moja jeszcze
Krzepka i gorąca.

Więc ci dalej nucić będę
Jako w życia wiośnie;
Co do śpiewu sił nie stanie,
Dopłaczę żałośnie.

Toć i krew nam nie pomogła
Przelana w stu bitwach:
Może będą łzy mocniejsze
Wylane w modlitwach.

Czego mieczem nie osięgli
Waleczni mocarze,
Może pieśnią swą wyżebrzą
Pobożni pieśniarze.

Przyjm więc, Panie, prośby nasze:
Ukróć doświadczenia
Długie chwile, potem przyspiesz
Godzinę zbawienia.

Bym i ja się raz pokrzepił
U wolności zdroju,
Poczem, Panie, puść starego
Pieśniarza w pokoju.

1894. **Czesław Lubiński.**

Ks. Konstanty Damroth

(CZESŁAW LUBIŃSKI).

Ksiądz Konstanty Damroth urodził się 14-go Września 1841 roku w Lublińcu, miasteczku górnoszląskiem. Ojciec jego był rolnikiem z zawodu; pełnił nadto obowiązki kościelnego przy farze Lubknieckiej, przy której w owe czasy był proboszczem ksiądz Witkowicz, a nieco później ksiądz Biernacki. Tak ojciec, jak matka z rodu Jüttnerów, odznaczali się bogobojnością i zacnością wielką.

Ówczesny Lubliniec był miasteczkiem czysto polskiem; zarządzał nim burmistrz, nazwiskiem Chmielewski. Z powodu swego położenia, na trakcie do Polski a mianowicie do Częstochowy, miało miasto wiele styczności z Polską i jej mieszkańcami. Tędy chodziły liczne pielgrzymki pątników ze Szląska na Jasną Górę; tędy też przechodzili ludzie z Polski, gdy z jakichbądź powodów kraj swój na zawsze lub na niejaki czas opuścić byli zmuszeni; niejeden z nich osiadał w samem mieście, co przy ówczesnych stósunkach politycznych nie było rzeczą trudną. Tym sposobem zawiązywały się tem bliższe stósunki sąsiedzkie i handlowe. Nie było wtedy zapewnie nikogo między mieszkańcami Lublińca, ktoby choć raz w życiu nie był odprawił pielgrzymki do Częstochowy; byli i tacy, którzy co rok tamdotąd się udawali. Nie mało też było takich, którzy dla handlu byli w Polsce jak w domu. I młody Konstanty chadzał z rodzicami uczcić Panienkę Jasnogórską a od najmłodszych lat wpoił sobie w serce wielkie dla niej uwielbienie na całe życie, czego liczne dowody znaleść można w jego poezyach. Napisał także w roku 1870 książkę pod tytułem: »Żywot Panny Maryi.«

Konstanty pobierał pierwsze nauki w szkółce miejskiej u nauczyciela Taszki i Renszmyda a odznaczał się przytem bystrością rozumu i zacnością serca tak bardzo, że nauczyciele wielką przyszłość mu rokowali. Inne to były wtedy czasy i inna szkoła; polski język ojczysty dzieci, był w niej na pierwszym planie; tego języka używano jako klucza do rozumu i serca dzieci, on był podstawą całej nauki. Jednakże nie zaniedbywano także nauki języka niemieckiego, lecz i ta nauka odbywała się za pomocą języka ojczystego. Nic dziwnego, że ks. Damroth, na sobie samym doświadczywszy zbawiennych skutków nauki za pomocą języka ojczystego, później jako pedagog i dyrektor zakładu naukowego tę metodę za jedynie właściwą i pożyteczną dla szkół polskich uznawał.

Szkoła Lubliniecka wywarła dobry wpływ na młodego Konstantego. Jeszcze lepszy wpływ miało otoczenie; w domu rodzice bogobojni uzupełniali naukę szkólną; jako syn kościelnego miał przystęp do zakrystyi i ple-



Ks. KONSTANTY DAMROTH

(CZESŁAW LUBIŃSKI.)

banii; tam spotykał się z księżmi, słyszał zacną radę, zachętę; od księży Paulinów i innych księży z Polski, który z pomocą księdzu miejscowemu przybywali, usłyszał nieraz gorętsze słowo co do stósunków narodowych. Jeszcze więcej i goręcej o tem mówili mu świeccy Polacy, uciekający z Polski przed prześladowaniem i przebywający w miasteczku. To otoczenie urabiało charakter i doskonaliło w nim zwolna to, czem się potem przez całe życie zawsze odznaczał: gorącą miłość do Boga i swego narodu. Bystremu jego pojęciu nie pozostało tajnem, że choć w szkole go uczyli piosnki, zaczynającej się od słów: »Jestem Prusak«, — i chociaż wielu mieszkańców Lublińca za Prusaków lub zgoła Niemców się miało, — to jednak po woli Boskiej i prawdzie istotnej ludzie z tej i z tamtej strony granicy byli sobie braćmi, dziećmi j e d n e g o narodu polskiego.

Gdy dwunasty rok życia ukończył, oddali go rodzice do gimnazyum w Opolu. Tam rok w rok przechodził z klasy do klasy, chwalony za pilność i dobre obyczaje przez nauczycieli, kochany przez towarzyszów szkólnych, nad którymi talentem i pięknemi cnotami górował.

Ukończenie szkół gimnazyalnych i chwilowy powrót do domu przypadł właśnie w tę chwilę, gdy Polacy pod panowaniem moskiewskiem walkę bohaterską acz beznadziejną z Moskalami toczyli a pruskie wojsko obsadziło granicę. W Lublińcu wojska nie było, lecz na najbliższej stacyi od granicy stał oddział. Co się wówczas za granicą działo, odbijało się żywem echem w Lublińcu. Mieszkańcy miasta pierwsi wiedzieli o zdarzeniach na placu boju; szły wieści liczne i stanowiły przedmiot rozmowy obywateli. Po upadku powstania przez Lubliniec uciekali liczni wychódźcy polscy, kryli się nieraz po domach obywatelskich lub zgoła nazwisko zmieniwszy, osiadali w mieście albo okolicy.

Ta walka narodowa tych, których młody Konstanty za braci uważać się nauczył, nie mogła pozostać bez wrażenia; jego szlachetne serce wsłuchiwało się z drzeniem w wieści nadchodzące a rzewne modlitwy płynęły z jego piersi przed tron Najwyższego o miłosierdzie dla narodu polskiego. Bóg inaczej rozporządził; powstanie upadło, wszystkie nadzieje runęły, nastał spokój za granicą, jak po pogrzebie... »Jak Bóg chce«, — powtarzał zapewnie wówczas młody akademik i jechał na dalsze nauki do Wrocławia, ustalając w sobie przekonanie, »że nie cudem, ale trudem, wiarą, miarą i ofiarą zostaniemy wolnym ludem.«

Okres nauk akademickich, to najpiękniejszy i najszczęśliwszy czas życia ks. Damrotha. W tym czasie dokonało się w nim zupełne odrodzenie narodowe; pąkówka miłości ojczyzny rozwinęła się w piękny kwiat. Stało się to pod wpływem otoczenia, jak i skutkiem zapoznania się gruntownego ze skarbami polskiej literatury.

Poznajomiwszy się z akademikami polskimi z innych stron, przebywając też dłuższy czas w domach polskich obywateli, przylgnął do nich, jak do braci. Przekonawszy się zaś, że jeszcze nie dość doskonale językiem ojczystym włada, rzucił się z zapałem do nauki i żelazną wytrwałością tak daleko doprowadził, że po roku już miewał piękne wykłady w polskiem stowarzyszeniu akademickiem. Doskonała znajomość języka otworzyła mu skarbnicę polskiej literatury, w której się rozkochał i sprawiła, że zapatrzony w znakomite utwory poetyczne polskich mistrzów słowa, sam zaczął pisać wiersze polskie.

Ach, któż o was zapomni, kosztowne chwile młodości, w których duch, jak młode orlę, pod obłoki wylata? Któż o was zapomni, towarzysze nauki, którzy razem dzieliliście chwile trudów, radości, nadziei. Nie zapomniał o nich ks. Damroth, a kilka miesięcy przed śmiercią tak śpiewał:

....Szybko zaś przed duszy okiem
Przesuwają lotem strzały
Wiosna, lato, żywot cały.
Chwile pracy, chwile znoju,
Chwile walki i spokoju,
Myśli, modły, ideały,
Gdzieście, gdzieście się podziały?
Gdzieście wy się rozproszyli,
Przyjaciele moi mili?
Czy nas przyjaźń wiecznie-trwała
Usty, sercem nie wiązała?....

Rzeczą jest jasną, że młodzieniec obdarzony takim talentem, odznaczający się w naukach zawodowych i już samodzielny pisarz i twórca, musiał się stać duchowym wodzem towarzyszy swoich najbliższych, Polaków z Górnego Szląska i wywierać na nich wpływ znaczny. Udało mu się też skupić młodzież górnoszląską w towarzystwie akademików górnoszląskich. Tam to czytał swoje utwory, dla tych towarzyszów pisał piosenki, które z czasem stały się duchową własnością ludu polskiego na Szląsku. W czasie pobytu na akademii uzbierało ich się tyle, że powstała z nich książeczka, wydana roku 1867 w Toruniu pod skromnym tytułem: »W i a n e k z G ó r n e g o S z l ą s k a.« Po raz pierwszy wtedy użył nazwiska Czesława Lubińskiego, przyjmując imię od świętego rodaka, a nazwisko od miasta rodzinnego Lublińca (Lubina.)

Tego samego roku 27-go Czerwca został wyświęcony na kapłana przez księcia biskupa wrocławskiego, ks. Henryka Förstera. Równocześnie złożył potrzebne egzamina filologiczne, bo upodobał sobie od dawna zawód nauczycielski.

(Dokończenie nastąpi).

OBRAZKI CZESKIEGO ODRODZENIA.

Z LISTÓW I OPOWIADAŃ EDWARDA JELINKA.

(Ciąg dalszy.)

W miejscach publicznych, jako to: w lokalach towarzystw, w kawiarniach, restauracyach, nawet i w mieszkaniach prywatnych, porozwieszano skarbonki koloru czerwono-białego (czeski kolor narodowy) z napisami: »Ve prospiech velikého narodniho divadla. Na zdar! Naród sobie.« W niejednej takiej skarbonce zebrano krajcarami po kilka set guldenów. I niejeden z tych krajcarów pochodził z ręki, która pracowała od wschodu aż do zachodu słońca — na suchy kawałek chleba. — Zresztą były zaprowadzone także składki codzienne w lokalach publicznych i domach prywatnych. Niejedna była rodzina, gdzie najstarszy syn, albo najstarsza córka codziennie zbierała od członków rodziny »krajcary« na »nasze divadlo.«

Nie mniejszym zapałem odznaczała się młodzież w szkołach, nawet najniższych, w Pradze i na prowincyi. Znalazł się zwyczajnie w każdej klasie gorliwy kasyer, który od swoich młodych kolegów zbierał na »divadlo.«

Ogromną, może bezprzykładną ofiarność pokazał lud czeski; z biednych miasteczek i wiosek tak obficie płynęły składki, że śmiało powiedzieć możemy, iż pod względem rezultatu składek, na równi stoi niejedna chata czeska z niejednym pysznym pałacem pragskim. W łonie ludu czeskiego nie zapominano też przy żadnej sposobności o divadle — przy każdej zabawie, przy chrzcinach, weselach, zjazdach, uroczystościach rodzinych i t. d. — zawsze pamiętano o wspaniałym ideale narodu, tam nad brzegami »strzybropiennej« Wełtawy! Takim sposobem znaczne kwoty napływały do kasy centralnej i do gazet, które pośredniczyły. Otóż naprzykład złożono na rzecz teatru w samych tylko Narodnich Listach do 16 maja 1880 roku ogromną stosunkowo kwotę 190,000 guldenów.

Że też bogate korporacye swoje robiły, samo się przez się rozumie. Za przykładem gminy pragskiej poszły też i gminy innych miast i ofiarowały stosunkowo odpowiednie sumy. Prócz tego złożyły znaczniejsze kwoty razem, rozmaite zakłady, jako to: besedy, kasy oszczędności, towarzystwa akcyjne itd., jednem słowem nikt nie był wykluczony.

Z reszty projektów dla pomnożenia funduszu przypominamy jeszcze przedsięwzięcie wydawnictwa »Naród sobie« wydany w sposobie znanego »Paris-Murcia« w maju 1880 roku. Pierwsze wydanie wyszło w 10,000 egzemplarzy po 60 złr., na lepszym papierze po 1 guld. Wkrótce jednak pokazała się potrzeba tej droższej edycyi i w przeciągu jednego tygodnia wyszły jej trzy wydania!

Znacznie też został fundusz pomnożony datkami członków »sboru,« t. j. obowiązkowym corocznym przyczynkiem pieniężnym. Tak to składano grosz do grosza, z grosza wyrósł gulden, a z guldenów przeszło milion!

Podczas gdy w całym kraju zajmowano się składkami, zbliżała się chwila przez tak długie lata, przez każde patryotyczne serce oczekiwana — chwila otwarcia »divadla narodniho!« Ile to westchnień, nadziei i marzeń!

Po nad brzegami Wełtawy wzrósł powoli gmach teatru narodowego, pyszny to budynek, jakiegoby Pradze każda stolica europejska zazdrościć mogła. W promieniach słońca już zabłysnęła olbrzymia kopuła, panująca prawie nad całem miastem i wznosząc się dumnie do lazuru czeskich niebios, głosiła, że Czesi w dowód swego odrodzenia świetnie skończyli, co z tak wielkim zapałem i z tak wielką wytrwałością wśród najtrudniejszych stosunków rozpoczęli. Duma narodowa napełniała każdego prawdziwego Czecha, pokazując na to arcydzieło czeskiej sztuki architektonicznej i każdy jej kamień, każdy filar, każda

tablica marmuru lub metalu, każdy obraz lub ozdoba jego — to przedmiot radości i nadziei.

Nareszcie już spiesznymi krokami przybliżyć się miał moment uroczystego otwarcia. Gorączkowo wybierał się już lud czeski, morawski i szląski do mateczki Pragi, ażeby na progu przybytku muz dramatycznych ojczystych ponownie schylił czoło i natchniony ideą najszlachetniejszą, ażeby się upoił widokiem, jaki przedstawiał trzydziestoletni trud i kłopot pracy jego. Zaproszono i oczekiwano też drogich pobratymców z krajów słowiańskich, którzy rozumiejąc znaczenie teatru narodowego w Pradze, serdecznie obiecali współudział w uroczystości święta narodowego. Brakowało już tylko dni kilku i echo czeskiego tryumfu miało napełnić wszystkie »dzieci zmartwychwstałe« uczuciem szczęścia.

Echa przyjaznej pochwały dochodziły nawet już zdaleka i odbijały się jasno w całem społeczeństwie czeskiem. Dawny przyjaciel Czechów pan Bronisław Grabowski, pisarz polski, przesłał na kilka dni przed stanowczem otwarciem teatru, poemat, z którego nie wahamy się powtórzyć tutaj choć jeden wiersz:

Sława Tobie, ludu zmartwychwstały!
Niech to dzieło w najdalszych lat dobie
Będzie wielkim pomnikiem twej chwały
Coś na wieki zbudował sam sobie!

A jednak — w chwili najbliższej urzeczywistnienia wszelkich nadziei i oczekiwań, los straszny w sposób iście okropny, zmienił naraz wykrzyk czeskiej radości w wykrzyk boleści.

Owoc niestrudzonego dążenia, najwspanialszy rezultat zapału i sztuki ojczystej stał się ofiarą strasznego pożaru. Budowla z nadludzkiemi wysiłkami i kłopotami właśnie skończona i do uroczystego otwarcia już przygotowana, — spaliła się do szczętu 12 sierpnia 1881 r. Wykrzyk rozpaczy wydarł się z czeskich piersi, bo owoc tyluletniej pracy, przedmiot tyloletnich nadziei leżał w gruzach!...

Nie było teatru — historya niedoli czeskiej nową kartą się zbogaciła.

Przed gruzami najdroższych marzeń swoich stanął lud, starcy, kobiety i dzieci, załamując ręce i chcąc własnemi łzami zgasić rozkiełznany żywioł pożaru.

Lecz z wykrzykiem boleści złączył się wykrzyk do nowych ofiar, nowej pracy i wytrwałości. Płomień i słup czarnego dymu z przybytku czeskich nadziei jeszcze się unosił w obłoki, kiedy już zabrzmiało w całym kraju hasło energiczne, że na gruzach stanąć musi teatr znów, niemniej wspaniały, niemniej pomnikowy. Czech wtedy jedną ręką ocierał łzy żalu a drugą składał nowe ofiary.

»Divadlo bylo, divadlo neni, divadlo bude! Teatr był, niema a będzie!«

O vyplaczme se!...
Ale vzhuru hlavy!
Pracujme opiet vszechni bez unavy!
Když chorzi czesky chram
Czech kabat svlekne!

t. j. »kiedy się pali czeska świątynia, to Czech zwlecze z siebie ostatnią suknię, ostatni kąsek chleba od ust sobie odejmie, byle ją na nowo podźwignąć.« Te słowa poety doszły jak najzupełniej do skutku. Jeszcze w nocy narodowego nieszczęścia, urządzono nowe składki na odbudowanie teatru, które wyniosły w przeciągu trzech godzin w Pradze i na prowincyi 15,000 guldenów. Drugiego zaś dnia już prawie całe Czechy, cała ta przestrzeń, gdzie tylko brzmi język ojczysty, przemieniła się w jedno jakoby towarzystwo, wzorową dyscypliną zorganizowane, ożywione najgorętszym niesłychanym zapałem do nowych poświęceń. Znów przenikało hasło: »Naród sobie — teatru niema, jednak teatr będzie« z Pragi, z miasteczek i wiosek, z domów i chat co chwila nadchodziły nowe i nowe ofiary. Całe towarzystwo czeskie, wszyscy reprezentanci, biedni i bogaci, przejęci ideą, składali grosz wdowi i — jaki skutek! Potrzebny milion guldenów na odbudowanie narodowego teatru zdołano zebrać w przeciągu paru tygodni. Nieszczęście sierpniowe zostało powetowane i na co naród czeski potrzebował dawniej lat 30, to wykonano dziś w przeciągu kilku miesięcy.

Rezultat składek na odbudowanie teatru świetnym był dowodem żywotności narodu czeskiego, był to tryumf na-

rodowy, jaki rzadko się zdarza. Im większe było nieszczęście, tem większy nastąpił ruch i gorączka pracy. Ponowne porozwieszanie skarbonek »Ve prospech narodniho divadlo,« urządzenie najróżnorodniejszych zabaw na korzyść teatru, wystawy, odczyty, składki prywatne, datki osób pojedyńczych, towarzystw i korporacyj — wiekopomnym są tego dowodem.

Naród, dowiedziawszy się, że na odbudowanie teatru potrzeba jest milion guldenów, nietylko milion zebrał, ale i więcej — przeszło milion złożył ponownie.

Jak Feniks z popiołów wzrósł pomnik narodowego odrodzenia Czechów. Drugi raz budowany stanął przed oczami wiernych synów ojczyzny.... jako ofiara piękna i czysta a wspaniała.

Dnia 18 listopada 1883 roku otworzyły się nareszcie stanowczo podwoje »złotego domu.« Obchodzono tę wielką uroczystość w obecności licznych gości słowiańskich, mianowicie polskich.

Odtąd teatr narodowy w Pradze, stojąc pod kierownictwem dyrektora Szuberta, jest chlubą narodu, nieraz z wielkim uznaniem wspominany i za granicą.*)

Niech więc rozwija się i błyszczy w najjaśniejszych zawsze promieniach ten pyszny granitowy pomnik narodowego odrodzenia nad Wełtawą.

*) Wydatki dzienne teatru narodowego wynoszą obecnie około 1000 złr.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

Grzegórz Nazianceński.

Prawdopodobnie w tym samym roku, w którym się narodził w Kapadocyi św. Bazyli, około roku 329 po Narodzeniu Chrystusa Pana, przyszło na świat w tej samej prowincyi lecz w innem mieście, dziecko, które się później stało najlepszym przyjacielem św. Bazylego, który mu najlepiej pomagał walczyć przeciw Aryanom. Był to Grzegórz z Naziancu.

Ojciec jego był człowiekiem, nadzwyczajnej pobożności, a matka Nona, była wzorem matki chrześciańskiej. Dla tego i dzieci takich rodziców szły od początku drogą doskonałości, bo i brat Grzegorza, Cesariusz i siostra, Gregonia, są pomiędzy świętych policzeni. Grzegórz miał się poświęcić wyższym naukom, wymowie, matematyce, filozofii, naukom, które są potrzebne, aby uzyskać wyższe stanowisko i urzędy w świecie. Uczył się najpierw w mieście rodzinnem, a potem poszedł na wysokie szkoły do Aten, gdzie w tymże samym czasie znajdował się królewicz Julian, który od wiary później odpadł, i Bazyli. Z Bazylim wnet się zaprzyjaźnił Grzegórz, a przyjaźń ta miała wpływ na całe jego życie. Obydwaj młodzieńcy niejako na wyścigi postępowali w cnocie i pilności w naukach. Zawsze byli społem i jeden drugiemu był podporą w niebezpieczeństwie, jakie miało dla nich pożycie z innymi młodzieńcami światowymi. Obyczaje pomiędzy młodzieżą w Atenach były bardzo złe, a studenci ateńscy byli znani z rozwiozłości.

Około trzech lat pozostał Grzegórz w Atenach, kiedy Bazyli wrócił do swej ojczyzny, aby nad brzegami rzeki Tygrys, być w pobliżu matki swej Emmy i siostry Makryny, w samotności oddać się modlitwie i rozmyślaniu i tylko troszczyć się o zbawienie swej duszy. Grzegórz też wrócił do domu ojcowskiego. Z pustelni swej pisał do niego Bazyli i zaprosił go do siebie, aby z nim dzielił życie pustelnicze, lecz Grzegorza tymczasem wstrzymywały obowiązki względem rodziców. Lecz i w domu rodzinnym żył w zupełnej samotności. Często jednak odwiedzał Bazylego i pomagał

mu w uprawie roli. Bazyli zasadził drzewa w ogrodzie, otoczył ogród murem kamiennym ku ochronie przeciw dzikim zwierzętom i sprowadził wodę do ogrodu. Grzegórz pomagał mu we wszystkiem. Potem czytali społem pismo św. i księgi mężów, którzy sobie postawili jako zadanie obronę chrześciaństwa, mianowicie czytali pisma Oryginesa. Przytem umartwiali swe ciało tak, że to nawet starszym pustelnikom zdawało się być za ostrem. Ognia nie było żadnego w domu; zioła ogrodu, chleb i sól były ich jedynym pokarmem. Sypiali mało, a to jeszcze na twardem łożu. Szata wełniana służyła im w nocy za pokrycie.



FIOŁKI.

Chociaż Grzegórz byłby zawsze pozostał chętnie z Bazylim, to obowiązki względem ojca powoływały go do domu, bo ojciec czuł się coraz słabszym i chciał mieć w synu podporę. Grzegórz miał zostać wyświęcony na kapłana, lecz tak bardzo bał się godności kapłańskiej, że uciekł do Bazylego. Tylko usilne prośby ojca i gminy w Naziancu zniewoliły go, że znowu wrócił do domu. Objął wtedy część obowiązków biskupich, ciągle uważając się za niegodnego wyższych godności, jakie mu dać chciano. Bazyli został tymczasem biskupem w Cezarei i nie spoczął prędzej, póki i Grzegórz nie został wyświęcony na biskupa. Zastępował Grzegórz ojca pod warunkiem, że po jego śmierci nie obejmie po nim urzędu. Nie czynił tego na pozór, lecz rzeczywiście nie chciał wyższych miejsc. Kiedy ojciec umarł, uważali biskupi prowincyi, że to jest rzeczą całkiem naturalną, iżby Grzegórz został biskupem Nazianceńskim, i nikogo innego biskupem nie obrali. Aby ich zmusić do tego, iżby kogo innego wybrali, poszedł Grzegórz z Naziancu do Seleucyi, gdzie przebywał kilka lat. Lecz i tu nie dano mu spokoju, ponieważ ze wszystkich stron pytano go się o radę i pouczenie w niesnaskach religijnych, panujących w owych czasach.

Katolicy w Konstantynopolu znajdowali się wtenczas w smutnem położeniu. Aryanie przywłaszczyli sobie kościoły i wypędzili z nich katolików, którzy nie mieli biskupa. Zwrócono się do Grzegorza i obsypano go prośbami, aby przybył do Konstantynopola i objął dowództwo nad małą liczbą katolików, bo większa część odpadła do Aryanów. Długo bronił się Grzegórz, bo lubił samotność i rozmyślanie tak serdecznie, że lękał się obowiązków i odpowiedzialności biskupa. Z początku zdawało się, że Grzegórz nie wiele zrobi. Postaci był niepozornej, a życie ostre i surowe sprawiło, że ciało jego było pochylone. Wypatrywał staro, miał łysą głowę i głos szorstki; nie było nic w nim, co się ludziom podoba i światu. Lecz łaska boska i duch boży były w nim, i wnet nie z ciekawości lecz z uwielbienia katolicy i innowiercy cisnęli się do niego. Mieszkał w domu krewnego, z którego tylko wychodził, kiedy go obowiązki wołały. W tymże domu prywatnym odprawiał msze św.; powstał z domu kościół, później nazwany kościołem zmartwychwstania, ponieważ w nim wiara katolicka zmartwychwstała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DRZEWO OLIWNE.

Ważnym przedmiotem pielęgnowania i starania nietylko w Palestynie, lecz i europejskich ciepłych krajach jest drzewo oliwne, a to nietylko z powodu użytku, ale i tak odwiecznej pamiątki, to jest potopu, gdzie gałązka oliwna była godłem pokoju i boskiego pojednania się z ludźmi.

Z trzech gatunków drzewa oliwnego, najgodniejszym uwagi jest gatunek znany pod nazwiskiem: drzewa oliwnego europejskiego (olea europaea). Drzewko to piękne rośnie w południowej Europie, mianowicie we Włoszech, Hiszpanii i południowej Francyi, kwiatki ma białe w kształcie krzyżyków, liście podobne do wierzbowych tęgie, zawsze z wierzchu zielone, pod spodem białe. Owoc mięsisty, owalny, wielkości wiśni, wewnątrz pestkę mieszczący; gdy dojrzewa, nabiera koloru ciemno zielonego, i dla tego odcień tego koloru nazywa się oliwkowo zielonym. Drzewo oliwne jest niskie, lubi grunt suchy, piasczysty, na tłustej i wilgotnej ziemi nie udaje się wcale.

W Piśmie świętem jest wzmianka o swojskiem i dzikiem drzewie oliwnem. Swojskie jest przez uprawę uszlachetnione, i owoc jego posiada smak przyje-

mny; dzikie zaś wydaje jagody znacznie od poprzedzającego większe, lecz niezdatne do jedzenia, ponieważ mają smak niezmiernie cierpki, dają tylko balsam dobry do gojenia ran wszelkich. Z tego drzewa, jak niesie podanie, robione były słupy w owej sławnej podówczas Świątyni Salomona. Drzewo oliwne z pozoru podobne jest do drzewa bukszpanowego, może dojść do późnego wieku. W Gethsemanie (w Azyi), w ogrodzie zwanym oliwnym, ma być do dziś dnia jeszcze pewna liczba tych drzew, pod któremi Zbawiciel modlił się i rozmyślał nad swą męką. Być to może, gdyż jeżeli stary pień od tysiąca lat pielęgnowany, w właściwym czasie zrzynany, coraz nowe wypuszczał gałązki — wtedy tak ciągle utrzymywane, mogły przetrwać tysiące lat, a tym sposobem dojść do naszych czasów. Kiedy drzewo oliwne swojskie słabieje, wtenczas odcina się tę gałązkę słabą, a miejsce jej, zastępuje się drugą, z dzikiego drzewka, to jest gałązkę dziką okulizuje się na swojskiem drzewku. Z tego drzewka mamy oliwę i oliwki. Wpół dojrzałe owoce, dają tak nazwane oliwki, które przygotowują się następującym sposobem: zbierają się wpół dojrzałe owoce, i moczą się przez 24 godzin w ługu z popiołu niegaszonego wapna zrobionym, następnie wybierają się z ługu oliwki, moczą się przez dni kilka w czystej wodzie (odmieniając tę ostatnią codziennie), nakoniec kładzie się je w słoną wodę i pakuje w beczułki. Takie oliwki w sztuce kucharskiej bywają pospolicie używane, lecz zdaniem lekarzy nie są zdrowe. Prowanckie oliwki są najlepsze.

Z dojrzałego owocu otrzymuje się oliwa różnej będąca dobroci, a to stosownie do gatunku drzewa, z którego owoc został zebrany. Dla otrzymania oliwy, owoce jej wyciskają się za świeża w prasach, przez co oliwa wycieka, co stanowi oliwę najlepszą, ostatnie zaś wyciskanie daje oliwę daleko gorszą, do potraw niezdatną i tylko do palenia w lampach używaną być mogącą. Dobra oliwa w stopniu ciepła lodu topniejącego ścinać się poczyna, powinna być jasną, przezroczystą, niezbyt tłustą, i żadnego zapachu nie posiadać. Prowancka oliwa zadość czyni tym wszystkim warunkom. Oliwę rozmaitemi olejami fałszują, łatwo jednak zafałszowania te odkryć można, gdyż naprzód oliwa taka krzepnie w małym mrozie, a następnie smaku i zapachu naturalnego nie posiada, ale mniej więcej gorzkawy. Oprócz codziennego użytku do potraw i do palenia w lampach, oliwa ma jeszcze zastosowanie w sztuce lekarskiej.

W najgłębszej starożytności drzewo oliwne było uważane za rzecz szacowną i pożyteczną i w mitologii dawnych Greków i Rzymian jest o niem wzmianka. Między innemi przytaczają następującą historyę. Kiedy szło o wybór opiekuna dla nowozałożonego miasta Aten w Grecyi, Minerwa i Neptun w ciągłej byli między sobą walce, Jowisz (bożek nieba u starożytnych) chcąc położyć tamę ich niesnaskom uchwalił, że kto z nich najpożyteczniejszą rzecz utworzy, nazwie miasto Cekropsa. Neptun dumny, uderzeniem swego trójzęba o ziemię wyprowadził od razu ognistego rumaka, gdy tymczasem Minerwa dotknąwszy lekko ziemi końcem swej włóczni, wyprowadziła piękne drzewo oliwne, dojrzałemi i pięknemi obciążone owocami. I któż z nich osiągnął zwycięztwo? Minerwie przyznano palmę zwycięztwa i od niej to właśnie miasto Ateny nazwę swoją otrzymało, (Minerwa po grecku znaczy Atena.) Używanie oliwy na pokarm jest tak dawne, jak używanie wina. Biblija nam wspomina, iż sięga czasów Jakóba patryarchy. Izraelici prowadzili znaczny nią handel z ościennemi narodami. Najczystsza oliwa w Starym Testamencie w służbie kościelnej do namaszczania arcykapłanów, kapłanów i królów Izraelskich używaną była, ludowi zaś użycie tego gatunku oliwy było zabronione. Za czasów apostołów pobożne niewiasty Chrystusowi nogi oliwą namaszczały na znak wielkiej czci, jaką były ku niemu przejęte. Tego samego gatunku oliwy, gdy jest poświęcona, duchowieństwo w czasie obrzędów religijnych używa.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Marya wynagradza śluby jej uczynione.

W historyi zakonu jezuickiego w królestwie neapolitańskiem we Włoszech jest zapisany następujący życiorys pewnego młodzieńca stanu szlacheckiego, będącego rodem z Szkocyi, kraju na wskroś angielsko-luterskiego. Było mu Wilhelm Elfinston, a był spowinowacony z królem szkockim Jakóbem. Wychowany w błędach anglikanizmu, był zaciętym zwolennikiem tejże sekty, dopóki łaską boską oświecony nie przyszedł do przekonania o błędności swojej wiary. Dostawszy się raz do Francyi, poznał tu prawdziwą wiarę za pomocą pobożnych Jezuitów szkockich, ale daleko więcej za przyczynieniem się Najświętszej Maryi Panny. Przekonawszy się nakoniec o prawdzie wiary katolickiej, wyrzekł się Wilhelm błędów kacerskich i przyjął prawą wiarę; potem udał się do Rzymu

Pewnego dnia widział go jeden z jego przyjaciół bardzo smutnego i zapytał o przyczynę jego smutku. Wilhelm wyznał mu, że ostatniej nocy ukazała mu się jego zmarła matka i rzekła:

— Synu, to wielkie szczęście dla ciebie, żeś na łono prawego kościoła powrócił. Powinnam ci bowiem wyznać, iż ja, wytrwawszy aż do śmierci w błędach kacerskich, teraz okropnie cierpię.

Od tego czasu stało się nabożeństwo Wilhelma do Maryi jeszcze gorliwsze, odkąd obrał sobie królową nieba i ziemi za swoją matkę; Marya zaś podała mu myśl wstąpienia do zakonu, co natychmiast wykonać przyrzekł. Ale ponieważ wkrótce potem w ciężką chorobę zapadł, udał się do Neapolu, aby przez zmianę powietrza na nowo zdrowie uzyskać. Tymczasem ta sama choroba, która się przeszkodą w wykonaniu świętego zamiaru Elfinstona być zdawała, przyczyniła się do tegoż rychlejszego końca t. j. do złożenia ślubów zakonnych. Ponieważ bowiem przed złożeniem ślubów dla ratowania zdrowia wyjechać musiał, udało mu się tem łacniej przez usilne prośby starszych Towarzystwa Jezusowego ku temu skłonić, że go w Neapolu bez trudności w grono zakonne przyjęli. W obliczu Przenajświętszego Sakramentu, który jako zasiłek na ostatnią podróż przyjmował, złożył uroczyste śluby i został Jezuitą. Wszyscy przytomni rozczulili się do łez, słysząc, z jaką tkliwością swej matce Maryi dziękował, że mu pomogła błędne i mylne światło dumy i przewrotności rozumu ludzkiego poznać, i że mu wyjednała łaskę skonania nie tylko na łonie prawego kościoła, ale nawet w domu braci, w kole zakonników, noszących imię jej boskiego Syna, dzielnych szermierzy Chrystusowych. Raz po raz radośnie wołał:

— O jakem szczęśliw, że mi w gronie tylu aniołów umrzeć wolno!

Gdy go proszono, żeby się ze względu na zdrowie w wylewach zbawiennych uczuć nieco pohamował, odparł:

— Ach, teraz nie czas spoczywać, nie czas myśleć o błahem zdrowiu ciała, gdy mi wnet przyjdzie z niem się rozstać.

Krótko przedtem, nim ducha Bogu oddał, rzekł do braci:

— Nie widzicież, kochani bracia, jak mnie aniołowie Boscy w ostatniej walce i ostatecznych cierpieniach wspierają.

A gdy go jeden z braci ruszającego ustami widział i zapytał, czegoby sobie jeszcze życzył, odpowiedział już konający:

— Nie chcę niczego... mówiłem oto właśnie z Aniołem Stróżem, który mi oznajmił, iż tylko krótki czas w ogniu czyścowym cierpieć mam...

Odtąd nie przerwał już swej gorącej modlitwy do Maryi, i umarł słodko i spokojnie jak dziecko, zasypiające na ramieniu matki, powtarzając obumierającym głosem:

— Moja matko, moja matko!

Kto wynalazł grę w szachy

i jaki jest jej wpływ na umysł gracza?

Wynalezieniem gry szachowej chlubią się dzisiaj turcy, przypisując to swemu osławionemu rozbójnikowi Uscoques'owi. Badacze wykazali jednak, że chluba ta wcale turkom się nie należy. Właściwym wynalazcą gry szachowej był wielki Palamedes król Eubei, syn króla Naupliusa.

Palamedes był jednym z głównych dowódzców walczących po stronie Greków przy obleżeniu Troi. Na pamiątkę tego obleżenia wymyślił Palamedes deskę, na której figury odgrywały walkę Greków z Trojańczykami. Figury przedstawiały głównych przywódców z tych zapasów bohaterskich, a w środku samym deski stał zwycięzki Pyrrhus, pogromca Priamusa i Parysa, uwodziciela pięknej Heleny. Figura Pyrrhusa nie brała jednak w grze Palamedesa udziału, zawadzała tylko; usunął ją więc całkiem Scatreucha i wprowadził pewien prawidłowy tok w szczegóły gry wszystkich figur pozostałych.

Palamedes podzielił swe figury tak:

Białe figury przedstawiały Greków. Królem był Agamemnon, królową wiarołomna Helena, królowa Sparty. Konikiem prawym był Idomeneus król Krety, konikiem lewym zaś Menelaos brat Agamemnona. Biegunami byli obadwaj Ajaxowie; wieżami byli Diomedes

i Ulysses. Piony przedstawiały: Palamedesa, Achillesa, Patroklosa, Nestora i innych bohaterów.

Czarne figury przedstawiały Trojańczyków. Królem był Priamus, królową Helena (ta sama co w białych, lecz o nią się właśnie rozgrywano). Konikiem prawym był Parys, konikiem lewym Hektor. Biegunami byli dwaj inni synowie Priama. Prawą wieżą była Deiphobe, lewą Aeneas. Piony przedstawiały Sarpedona, Agenora, Antenora, Pandarosa i t. d. Na polu walki pozostawał zawsze jako ostatni pion Acamas, przedstawiający przebranego bożka wojny Marsa.

Co do pochodzenia nazwy »szachy«, istniały w wiekach średnich, hołdujących tej grze w sposób nadzwyczajny, dwa przypuszczenia. Etymolog Gregorius Tholosanus twierdził, iż słowo »szach« pochodzi z hebrajskiego *scach*, to znaczy tyle co *vallavit*, zaś *matt* miało znaczyć *mortuus est*.

Inny etymolog, Samuel Bochard, wywodził obadwa wyrazy z perskiego języka, w którym *szachmatt* ma znaczenie zdania: »Król umarł«.

Z graczy, którzy się w ciągu wieków minionych odznaczyli w tej grze szlachetnej należy się obok Scatreuchy wspomnienie Tamerlanowi kulawemu, mieszkańcowi miasta Kesz w Persyi, synowi owczarza, późniejszemu przywódcy hord tatarskich. Po Tamerlanie nie zapisała kronika żadnego z wybitniejszych graczy szachowych aż do r 1640, w którym Gioachino Greco, kalabryjczyk z rodu, przedsięwziął podróż po Europie celem wyszukania sobie odpowiedniego rywala w tej grze, ale go nie znalazł.

Na dworze Ludwika XIII żyło trzech wielkich graczy: książę Nemours, Arnould le Carabin i Chaumont de la Salle. Gioachino Greco pobił wszystkich trzech, przez co naraził się na trzy pojedynki, ale i z nich podobnie jak z gry wyszedł zwycięzcą.

Niezwykłą sławę szachisty osiągnął w drugiej połowie XVIII wieku Philidor, kompozytor 24 oper. Porzuciwszy muzykę, jął się gry w szachy i doprowadził do szczytu mistrzowstwa. Polem jego popisów była kawiarnia de la Régence w Paryżu. Ociemniawszy w 80 roku życia, grał jeszcze z najlepszymi graczami i wychodził zwycięzko. Nie dorównał mu nikt; Napoleon, który był dobrym graczem, chlubił się, ale niesłusznie, iż zdoła mu sprostać.

Najwięcej mistrzów szachowych wydał dopiero wiek XIX — imiona ich znane są powszechnie. Niedawno zmarły Cukertort, lublianin, był także w szeregu mistrzów tej gry w XIX wieku.

Gra w szachy należy do gier najszlachetniejszych, ma ona za sobą sędziwą przeszłość, od dawien dawna bowiem stanowi istotną część wychowania dziewic w Chinach; zupełnie tak samo, jak mniej kształcąca umysł, ale również ważna w wychowaniu europejskiem, gra na fortepianie. Gra w szachy rozwija umysł, niby matematyka lub gramatyka porównawcza; nie idzie za tem, żeby dobry szachista był koniecznie człowiekiem znakomitym i na innem polu, lub żeby człowiek nie lubiący grywać w szachy był umysłowo upośledzonym. I gra w szachy, jak każda inna umiejętność, może być specyalnością, poza którą specyalista nic innego robić doskonale nie potrafi. Rzadko się zdarza aby ludzie lubiący grę w szachy, hazardowali się i w gry inne; między szachistami prawie niema szulerów. Szachy więc kładą hamulec na szpetne namiętności; chociaż i tu są wyjątki, przecież taki Tamerlan grywał w szachy znakomicie, ale mordował jeszcze znakomiciej. Nie przyznając grze w szachy misyi cywilizacyjnej, można ją nazwać zabawą szlachetną i pożyteczną, byle nie przeszła w namiętność, która pochłania wszystek czas i odwodzi od obowiązkowych zajęć. Nadużycie zawsze i wszędzie jest szkodliwe.

Praktyczne rady.

— **Przyczyna nieurodzajności drzew owocowych.** Sadzenie drzew owocowych wśród trawników jest częstokroć przyczyną ich nieurodzajności. Trzeba więc skopać trawę naokoło każdego drzewa, w promieniu $1^1/_2$ łokcia i próżne miejsca obsadzić warzywami: przez usunięcie darni, dajemy wodzie deszczowej możność wsiąkania w głąb ziemi i zasilania korzeni drzewa. Dobrze jest nawozić skopaną ziemię różnemi odpadkami, jak liśćmi przegniłymi i t. p., gdzie jednak potrzeba silniejszego nawozu, należy, wykopać ziemię w około, o ile na to pozwalają korzenie, i zastąpić ją kompostem zmięszanym z popiołem. Tym sposobem najlepiej zapobiegnie się nieurodzajności drzew owocowych.

— **Ratowanie zemdlonych.** Pewna angielska gazeta lekarska przestrzega, żeby nie podnosić i nie sadzać osób zemdlonych, gdyż to może być dla nich zabójcze. Osobę zemdloną najlepiej zostawić leżącą i trzeźwieniem starać się o przywrócenie przytomności.

Rozmaitości.

* **Szklanne domy.** W Chicago budowanych jest obecnie 17 domów szklannych. Nie są to oczywiście budynki ze szkła lustrzanego, lecz z kamieni, zrobionych z masy do szkła zbliżonej. Kamienie takie zastępują podobno z korzyścią inne, jak naprzykład emaliowane, które podlegają łatwo wpływom atmosferycznym, wilgoci i mrozowi, przyczem emalia czy glazura pęka Kamienie szklanne są wewnątrz puste i można im nadawać dowolny kształt i barwę,

tak, że zewnętrznie budynki z takich kamieni niczem się nie odróżniają od zwykłych domów.

* **Świadectwo dla wiary.** Amerykański duchowny Dr. Talmay w Broklynie, odwiedził przed kilku laty w Hawarden słynnego angielskiego męża stanu Gladstona i zapytał się tegoż: »Czy wiara Pańska na starość nie słabnie?« Gladstone odpowiedział natychmiast: »Na świecie istnieje tylko jedna kwestya (sprawa) prawdziwie ogólna, a to jest, ewangelią Pana Jezusa Chrystusa wszczepić w serca. Ja miałem przez 40 lat styczność z rządem państwa angielskiego i poznałem 60 największych geniuszów naszego wieku. Z tych sześćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu było prawdziwie wierzących, a ostatnich pięciu miało dla religii głębokie uszanowanie. Wiara moja z wiekiem nie słabnie, ale rośnie.«

* **Szybkość** przeciętną różnych poruszeń na sekundę usiłuje od kilku lat obliczyć pewien Anglik, nazwiskiem J. Jackson, który ma widocznie dużo wolnego czasu. Skala jego doświadczeń zaczyna się od paznogci, które najwolniej rosną, t. j. poruszają się naprzód. Rośnięcie ich wynosi 0,000000002 metr. na sekundę, co się równa dwom milionowym cząstkom milimetra. Rosną one tysiące razy wolniej, niż trzcina bambusowa, a ślimak ma w porównaniu z nimi szybkość lokomotywy, albowiem posuwa się w przeciągu sekundy o 0,0015 metr. naprzód, a więc o $1^1/_2$ milimetr. Na przeciwnym krańcu skali tych oryginalnych badań znajduje się prąd elektyczny z wyładowania butelki Lejdejskiej. Przebywa on przez drut, mający 0,0017 metr. średnicy 463500 klmtr. na sekundę. Wreszcie nadmienimy, że wedłng p. Jackson, człowiek wykonywa uderzenie pięścią z szybkością 8,50 metr. na sekundę.

* **Nowy barometer.** Przy obecnej zmiennej temperaturze barometry zawodzą i są często w niezgodzie z stanem powietrza. Pewien gospodarz mający u siebie barometr, zniecierpliwiony tem, że inni gospodarze przychodzili przed dom jego odczytywać na barometrze, przy czem go ciągle pytali, dla czego powietrze jest inne a barometr też inaczej wskazuje, poradził sobie w ten sposób. Stary barometr zdjął z gwoździa, na gwoździu zawiesił pół metra dość grubego sznura i na ścianie przylepił takie napisy: 1, pogoda, gdy sznur jest suchy. — 2, deszcz, gdy sznur raz jest suchy, drugi raz mokry. — 4, Wiatr, gdy sznur się porusza. — 5, Mróz, gdy sznur jest zmarznięty.

Gospodarze oglądali i ten barometr, ale już swego sąsiada nie zarzucali pytaniami i przestali chodzić. Tylko jeden znalazł się taki, który chodził przez kilka dni i codzień chwalił nowy barometr, że jest pewniejszy od szklanego.

* **Na szale kaszmirowe** używa się najcieńszej wełny z kóz kaszmirskich hodowanych w Tybecie; do wyrobu ich służą warsztaty, nader pierwotnej budowy. Na warsztat odrazu zakładają dwa szale. Tkanie ich jest nader trudne, i długiego wymaga czasu; czterech ludzi nie zdoła przez rok wykonać dwóch szali średniej wielkości. Składają się one z kilku części, połączonych z sobą nader zręcznie. Do układania wzoru służą drewniane igły, jedna do każdej barwy. Wzory nie odznaczają się wielką rozmaitością; najwięcej używane są dwa: jeden naśladuje kręty brzeg rzeki Ihelam, drugi naśladuje kitkę z piór i drogich kamieni noszonych przy turbanach. Jeżeli do trudności wyrobu dodamy wysoki podatek opłacany rządowi od szali, to nie będziemy się dziwili drogości tych pięknych i delikatnych tkanin.

* **Najbogatszymi krajami** w konie są Argentynia i Uraguay, najuboższym zaś Włochy.

Zagadki z nagrodami.

1.

--- wolność czuć i -- umiesz,
W naszej --- nie potrzeba --
Ja twe ---, ty me · rozumiesz,
I dłoń ---, oto -- mowa.

Należy odgadnąć słowa opuszczone tak, aby całość przedstawiła się jako czterowiersz.

2.

Żołnierze szli na odwach; jeden marszerował przed dwoma, jeden między dwoma, a jeden za dwoma. Ilu było żołnierzy razem? 9

3.

A	1 K	r	a	k	ó	w
B	Z	o 2	p	p	o	t
C	K	o	l 3	a	n	o
D	G	a	w	ę 4	d	a
E	S	z	p	a	d 5	a
F	P	o	l	s	k	a

W sześciu rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, ułożyć w każdym po wyrazie sześciozgłoskowym, w którychby litery wskazane przez cyfry od 1 do 6 włącznie składały nazwę pięknego kościelnego zwyczaju. Sylaby: ska - Kra - da - po - pot - wę - Ga - Szpa - Pol - ków - Cop - Ko - lada.

Znaczenie wyrazów: A. Miasto Polskie. B. Kąpiel morska pod Gdańskiem. C. Część nogi. D. Inaczej rozmowa. E. Inaczej szabla. F. Kraj nad Wisłą.

Za rozwiązanie trzech zagadek wyznaczamy następujące nagrody: **12 marek, 8 marek, trzy nagrody po 4 marki.** Nagrody wypłacimy **gotówką.** Kto chce, może zamiast pieniędzy wziąść książki. Przy nadesłaniu rozwiązania prosimy podać, czy pieniądze, czy książki mu nadesłać. Rozwiązanie należy przysłać najpóźniej do końca Maja, dołączając kwit z poczty lub od agenta, jako nadsyłający „Światło“ na II kwartał 1895 sobie zapisał. W razie gdy więcej osób dobre rozwiązanie nadeśle, los rozstrzygnie, komu się nagrody dostać mają.

Poniżej jest naznaczony **wilk** z obrazka, podanego w przeszłym numerze „Światła.“



ŻARTY.

W szkółce.

Nauczyciel: Bosacki, powiedz mi jak się dzieli talar na mniejsze części.

Uczeń: Nie wiem.

— Jakto, nie wiesz? Jak ojciec przynosi w sobotę wieczór talary za robotę, więc zmienia na drobne i dzieli...

— Ojciec wcale nie dzieli, bo matka wszystko zabiera.

Niepotrzebna nauka.

— Ach ty bębnie jeden, ja cię nauczę robić dziury w ubraniu!

— Nie potrzeba, plosię tatki, ja umiem.

Ostrożnie.

— Cóż tam słychać u mnie na wsi, mój Grzegorzu?

— Nic, proszę jaśnie dziedzica, tylko że dwanaście koni urządziło bezrobocie.

— A to jakim sposobem?

— Bo pozdychały, proszę łaski jasnego pana.



Oficer: Silberstein, kopyta konia nie czyszczone.

Żołnierz Silberstein: Wie haist? Ja sobie nóg nie myję, a koniowi miałbym kopyta myć?!

Schwytanie rabusia albo nieszczęsny wąs.

1.



2.



3.



4.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.